

## O kopnięciu stolika [FELIETON]

Nawet poważni analitycy zagraniczni złapali się na „lunatyczną” propagandę, krok po kroku wskazując dalekosiężne skutki kopnięcia unijnego stolika przez Polskę – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Wychodzenie z Unii stało się w tych dniach jednym z centralnych zagadnień debaty publicznej, toczonej w Polsce i o Polsce. Partia rządząca uroczyście podjęła uchwałę, iż co jak co, ale z Unii kraju nie zamierza wyprowadzać. Gdyby taką uchwałę traktować serio, jako istotny akt polityczny, to trzeba by założyć, że do ubiegłego tygodnia rządząca prawica zastanawiała się nad tym dylematem, aż w końcu po namyśle uznała, że jednak nie warto. To oczywiście absurd, bo obwieszczona publicznie „decyzja” władz naczelnych PiS nie należy przecież do porządku realnej polityki, ale propagandy i piaru. Od czasu, gdy pewien mało ostrożny w słowach krakowski polityk zapowiedział możliwość podejmowania kroków „drastycznych” w sporze z Brukselą, obóz władzy znalazł się pod silnym ostrzałem z wielu stron, iż nawet jeśli opuszczenie Unii nie jest jego planem i zamiarem, to i tak wiedzie kraj w tę stronę, niczym w jakimś lunatycznym śnie. Uchwałę podjęto w reakcji na ów ostrzał, jako formę propagandowej kontrofensywy.

*„Lunatyczny” styl  
hermeneutyki politycznej  
upowszechnił się ostatnio w  
Europie i służy teraz często do  
celowego rozbudzania  
namiętności i wywoływania  
poczucia grozy*

Ten „lunatyczny”  
styl hermeneutyki  
politycznej  
upowszechnił się  
ostatnio w Europie i  
służy teraz często do  
celowego  
rozbudzania  
namiętności i  
wywoływania

poczucia grozy. Mechanizm jest prosty: każdy zwyczajny konflikt polityczny daje się bowiem przedstawić (przy odrobinie złej woli i

zacięcia propagandowego), jako pierwszy krok na drodze ku wielkiej katastrofie. Przy czym winnymi zawsze muszą być ci, którzy zamiast od początku siedzieć cicho, albo co najmniej strachliwie ulec przy pierwszym zwarciu, mają nadal czelność bronić swoich racji i interesów. A zaczęło się to wszystko przy okazji stulecia wybuchu I wojny światowej i „rocznicowej” książki australijskiego historyka Christophera Clarka, wtedy dyskutowanej żywo przez media i polityków. Clark postawił tezę, wedle której największe kataklizmy wywołują nie ci politycy, którzy istotnie do nich dążą, ale ci, którzy nie rozumieją historycznego sensu i konsekwencji własnych kroków, działając w swoistym lunatycznym śnie. Krótco potem przypadek Camerona, który „przez pomyłkę” wyprowadził Anglię z Unii, nadał tezie Clarka silną empiryczną prawomocność.

W dzisiejszych polskich warunkach „lunatyczna” interpretacja polityki używana jest z premedytacją dla zdezawuowania niemal każdej próby podjęcia przez Warszawę politycznej gry z instytucjami unijnymi. Ukryte są w tej interpretacji dwa niewypowiedziane założenia. Jedno – wedle którego narodowa gra z Brukselą musi w finale mieć zawsze sumę zero; i drugie – że taki kraj jak Polska jest za słaby, aby móc okazać się w niej wygranym. Jeśli zatem w stosunku do żądań instytucji unijnych, niezależnie jakiej by one nie były natury, nie ustąpisz od razu, to uruchamiasz spiralę, która ma to do siebie, że na każdym kolejnym obrocie cena twojej porażki jest wyższa. A jeśli tej rosnącej ceny jednak nie zapłacisz, to pewnego dnia staniesz wobec sytuacji, w której pozostanie ci już jeden i tylko jeden sposób niesubordynacji: wbrew własnym intencjom i interesom, będziesz musiał kopnąć stolik. I to będzie właśnie owa chwila „lunatycznego” wyjścia z Unii.

Trzeba przyznać, że jako narzędzie propagandy i budzenia grozy, „lunatyczna” hermeneutyka sprawdza się całkiem nieźle. Jej praktyczne zastosowanie w polskiej polityce sprawiło, że ostatnimi czasy ośrodki socjologiczne zaczęły nieustannie sprawdzać, iluż to polskich obywateli byłoby już gotowych zaakceptować opuszczenie Unii. Największe media niemal bez przerwy prowadzą analizy nad tym, czy PiS już jest tuż, tuż, niemal w przededniu kopnięcia stolika, czy też jeszcze zostało do tego momentu trochę czasu. I nawet poważni analitycy zagraniczni złapali się na „lunatyczną” propagandę, krok po kroku wskazując dalekosiężne skutki takiego kopnięcia unijnego stolika przez Polskę. Na przykład zmartwiony Ivan Krastev z całą powagą wyjaśnia, iż gdy idzie o Polskę,

to być może rozpadłaby się ona wówczas jako państwo, zaś gdy idzie o Unię – to musiałaby się przyznać do kompletnego fiaska idei integracji Europy. Polityczną grozą wieje, że aż hej!

*Gdyby „lunatyzm” traktować nie w kategoriach technik propagandowych, ale jako poważne narzędzie opisu i prognozowania polityki, to natychmiast wpada się w pułapkę absurdu*

Gdyby jednak ów „lunatyzm” traktować nie w kategoriach technik propagandowych, ale jako poważne narzędzie opisu i prognozowania polityki, to natychmiast wpada

się w pułapkę absurdu. „Lunatyczna” egzegeza, zastosowana do realnej i teraz-dziejącej-się polityki, ani w żaden sposób nie wyjaśnia mechanizmu rozwijania się konfliktu, ani też nie pozwala prognozować prawdopodobnego sposobu jego rozwiązania. Skoro w przypadku takiego kraju jak Polska, czyli politycznie ciągle nie nazbyt wpływowego, spirala konfliktu z instytucjami unijnymi (czyli gry o sumie zero) przybliżyła jedynie moment bezradnego kopnięcia stolika, to znaczy, że *a priori* trzeba zdezawuować i wykluczyć samą możliwość wejścia w konflikt. Absurd takiej konkluzji widać gołym okiem, prowadzi ona bowiem do zakwestionowania polityki jako takiej. Konflikt jest przecież naturalnym i konstytutywnym żywiołem polityki, a dialektyczna gra, polegająca na jego dramatyzowaniu i łagodzeniu – samym sednem stosunków międzynarodowych, które od początku świata mają „Hobbesowską” naturę. Być może zatem „lunatyczna” hermeneutyka wygląda dobrze w książkach historycznych, gdzie (jak u Clarka) pozwala ująć w błyskotliwą formułę interpretacyjną tragizm decyzji trzech cesarzy, podjętych w 1914 roku, a przyspieszających historyczną zgubę ich imperiów. Ale „lunatyzm”, jako metoda objaśniania teraz-dziejącej-się polityki, jest intelektualnie bezwartościowy, a nawet wiedzie do absurdu. Dlatego mądrzejszą rzeczą byłoby już podążyć do Cumae, aby czegoś się tam dowiedzieć od pogrążonej w wulkanicznych oparach Sybilli, aniżeli na serio słuchać samorodnych i wyrastających w Polsce jak grzyby po deszczu „lunatycznych” wieszczków.

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 – 2030

